



MIĘDZY NAMI ANINIANINAMI N I E C O D Z I E N N I K

Kwiecień / Maj ★ ISSN 1644-6356 ★ Pismo bezpłatne ★ Rok 2020 nr 2/117



fot. Mirosława Skoczeń

Warszawa, dn. 19.05.2020 r.

Pani
Barbara Mildner
Redaktor Naczelna
MIEDZY NAMI ANINIANINAMI

Szanowna Pani Redaktor

Miałem nadzieję osobiście przekazać założycielom, redaktorom oraz wszystkim współpracownikom pisma MIEDZY NAMI ANINIANINAMI serdeczne podziękowania za wytrwałą, bezinteresowną i długoletnią pracę podczas jubileuszowego spotkania z okazji XX-lecia istnienia naszego pisma.

Uroczystość zaplanowano na 18 dzień kwietnia br., ale z przyczyn wszystkim znanych została ona odwołana.

Zatem – reprezentując Bibliotekę Publiczną w dzielnicy Wawer, która jest oficjalnym wydawcą tego niezwykle, społecznego periodyku – czynię to w niniejszym liście z prośbą o przekazanie moich słów wszystkim zainteresowanym.

Doceniam ogrom pracy włożony w wydanie aż 116 numerów „niecodziennika” utrwalających historię naszej dzielnicy i pokazujących osiągnięcia jej mieszkańców – nie tylko Anina, ale całego Wawra.

Cieszę się, że nadal traktujecie Bibliotekę Wawerską jako Wasz „Dom na Trawiastej” jak również, wysoko oceniacie naszą współpracę, czemu daliście wyraz w jubileuszowym numerze.

Z wyrazami szacunku
w oczekiwaniu na rychłe spotkanie

Jacek Czarnowski
[Signature]
Dyrektor
Biblioteki Publicznej
w Dz. Wawer m.st. Warszawy

OD REDAKCJI

Brak nam kompetencji, by pisać rzeczowo o pandemii, jednak nie wspomnieć o niej – nie sposób. Wydajemy ten numer w czasie nadzwyczajnym: zmuszeni byliśmy odwołać zaplanowane na kwiecień spotkanie z naszymi ofiarnymi współpracownikami i dobrodziejami. Zmuszeni byliśmy odwołać nawet spotkania redakcji i tworzyć kolejny numer... online, nie my jedni zresztą... Nasze smartfony, laptopy, komórki nigdy nie były tak przeciążone, tak przydatne i tak nieodzwonne. Przydało się nam doświadczenie wieloletniej pracy bez własnego lokalu, na prywatnym oprzyrządowaniu.

Mimo tej przymusowej izolacji udało nam się jednak przygotować niniejszy numer, rozpoczynający niejako kolejny etap w historii pisma po dwudziestu latach jego istnienia. Udało się utrzymać nasze stałe rubryki – jak i lubiane felietony: Barbary Wizimirskiej, prof. Piotra Błędowskiego; kontynuować cykl kryminalnych opowiadań Wojciecha Adamczyka, a ponadto – zebrać kilka opowieści o... nie ludzkich przyjaciółach człowieka. Bo doświadczaliśmy sami tego, jak wielką rolę odgrywa w czasie przymusowej samotności posiadanie kogoś bliskiego, do kogo odezwać się można, nawet, jeśli ten ktoś nie odpowiada ludzkim językiem.

O takich przyjaciółach zamierzamy pisać i w następnych numerach MNA. I o ludziach, którzy służyli w potrzebie bez myślenia, co w zamian otrzymają. Piszcie do nas o waszych przemyśleniach i doświadczeniach czasu zarazy. To jednak jest niezwykle czas, trzeba go upamiętnić.



Piotr Błędowski

MYSZ? A KYSZ!

Jak się dowiedziałem z bardzo dobrze poinformowanego źródła, obecny numer ma w dużej części nawiązywać do tematyki zwierząt. Bezwarunkowe zlecenie, jakie dostałem w formie delikatnej sugestii ze strony Redakcji, odnosiło się do tego, by napisać coś właśnie o zwierzęciu. Pierwszą myślą było wspomnienie o moim szorstkowłosym jamniku. Dożył iście matuzalemu wieku, a na imię miał Cykor. Zapewniam PT Czytelników, że Cykor był szczerzącym przykładem prawdziwości opinii, iż istnieje ścisły związek między imieniem a charakterem istoty... No, ale Cykor już od dawna w zaświatach, gdzie zapewne znów udaje, że nie dostrzega demonstracyjnie przechadzających się przed jego nosem kotów z sąsiedztwa. A może wręcz przeciwnie – stał się teraz ich postrachem?

Przez dwa sezony miałem okazję obserwować nornicę. Niewątpliwie szkodnik, ale wybaczyłem jej podgryzanie korzonków, ponieważ swoją norę urządziła tak, że mogłem ją podpatrywać przez okno mojego pokoju. Nie przeszkadzałem jej, a miałem okazję podziwiać, jak ostrożnie się zachowywała, szybko przebiegając między krzaczkami i chowając się za kamieniami skalniaka. Okazało się jednak, że któryś z kotów ją przechytrył... Norka pozostała pusta, potem zasypała ją ziemią, korzonki jakoś się zregenerowały. Natura jest silniejsza od ludzi, a nawet od kotów.

Już byłem bliski zameldowania Redakcji, że nie mam żadnego zwierzęcia, o którym mógłbym napisać, kiedy mój wzrok padł na mysz... Nie, po moim domu nie biegają myszy! Spojrzałem na leżącą na biurku mysz komputerową. Mysz, jaka jest, każdy widzi – chciałoby się sparafrazować słowa ks. Benedykta Chmielowskiego. Tępiona przez wieki – nie wyginęła, szkodzi, jak szkodziła, ale jakoś przyczynia się do zachowania równowagi w przyrodzie. Inaczej w świecie komputerów. Tu mysz ma swoje prawa, jest uważana jeśli nie za niezbędną, to przynajmniej za bardzo przydatną

i tylko monitory dotykowe mogą się bez niej obejść. Nie zawsze jest szara, niekiedy ma wręcz designerskie kształty, ale przede wszystkim – niezależnie od urody i rozmiaru – jest pomocna w komputerowej nawigacji. Dla początkujących jest trudna do oswojenia. Kursora, pokazującego jej położenie na monitorze nieraz nie można odnaleźć, a ponadto często sprytnie się chowa pod sterty osuwających się ze wszystkich stron papierów. Pewnie dlatego zrezygnowałem z myszki bezprzewodowej: teraz mogę ją przynajmniej złapać za ogon/przewód i wyciągnąć z kryjówki.

Przydatność myszki komputerowej nie podlega dyskusji. Używamy jej coraz powszechniej, szczególnie teraz – w dobie wymuszonej i przyspieszonej cyfryzacji naszych kontaktów społecznych. Samoizolacja oraz brak dostępu do wielu usług społecznych (począwszy od szkół i uczelni, a na przychodniach lekarskich skończywszy) sprzyjają korzystaniu z Internetu. Nie tylko częściej używamy videoczatów, ale i rozmaitych komunikatorów. Czynimy to przy okazjach służbowych, lecz przede wszystkim – prywatnie, zastępując rozmowy osobiste czy telefoniczne wymianą krótkich wiadomości, wzbogaconych niejednokrotnie rozmaitymi emotikonami. Niestety, krótka forma, a zapewne i niesprzyjający staranności pośpiech, sprawiają, że nieraz cierpi na tym język. Jeden z otrzymanych niedawno esemesów kończył się słowami: *3V sie!* Nietrudno się domyśleć, że chodziło o *trzymaj się!*, ale kiedy dostaję informację: *z ulga opuszciam zone*, to mogę tylko mieć nadzieję, że mojemu korespondentowi chodzi o uciążliwą strefę... Dobrze chociaż, że najbardziej podobno polskie słowo (nie tylko z tego powodu, że pisane wyłącznie „polskimi” literami, ale i wskazujące na naszą narodową cechę) – *żółć* nie pozostawia pola do interpretacji.

Warto zwrócić uwagę, że liczne telekonferencje, wykłady i seminaria, a także prowadzone za pośrednictwem Internetu lekcje pociągają za sobą powstanie nowej etykiety, coraz bardziej rozbudowanego cyfrowego *savoir-vivre*. Dawniej wystarczyło pamiętać, że nie należy pisać wiadomości drukowanymi literami, bo interpretowane to będzie jako podniesienie głosu. Dziś stosowane są coraz bardziej wyszukane formy zachowań. Codziennie konferuję za

pośrednictwem videoczatu z moimi wspańnymi wnukami (wiem, wszystkie wnuki są wspaniałe, ale...). Jakież było moje zdziwienie, gdy podczas jednej z takich rozmów zobaczyłem, że dwoje z nich (wcale jeszcze nie uczniów!) melduje się do głosu, podnosząc rękę i wymieniając swoje imię, tak jakbym mógł je pomylić z kimkolwiek... Ja miałbym pomylić swoje wnuki? Ja?? Oni jednak zaobserwowali to u starszej siostry i potraktowali jako coś oczywistego. Tak po prostu należy się zachować. Może zatem uda się reanimować, a potem upowszechnić dawny zwyczaj, że kiedy jedna osoba mówi, pozostałe słuchają? Może na przykład politycy nauczą się tego od swoich dzieci lub wnuków? Ech, rozmarzyłem się...

Wracając do myszy: jej przydatność najlepiej poznajemy przy edytowaniu tekstu. Kopiuj i wklej, usuń – myszka ogromnie ułatwia wykonanie tych komend, podobnie jest pomocna przy zarządzaniu plikami. Nie wyobrażam sobie przeniesienia tego tekstu na pendrive'a bez jej udziału. A propos pendrive'a – czy zauważyli Państwo, że najczęściej daje się prawidłowo umieścić go dopiero za trzecią próbą? Złośliwość rzeczy martwych czy sygnał, że coraz bardziej nad nami panują?

Wprawdzie nie rozmawiam z moją myszą, ale traktuję ją jako niezwykle użytecznego partnera w pracy i ważną część komputera, który stał się znakiem naszych czasów. Dziś jest pomocny w łączności, kontaktach rodzinnych i zawodowych, zakupach czy rozrywce. Wierzę jednak, że kiedy wrócą normalne czasy (bo przecież to nastąpi!), my wrócimy do normalnych, bezpośrednich kontaktów, pozostawiając komputerowi i przywiązanej do niego myszy rolę narzędzia, a nie najważniejszego przedmiotu w domu.

Zycze Państwu dużo zdrowia i pomysłności :)

PS.

Niech mi dziadek powie, czyż
Nie jest ładna szara mysz?
Patrzy na mnie, cicho stoi...
Kto z nas dwóch się bardziej boi?

E-życie

DZIEŃ STUDENTA W CZASIE PANDEMII...

9:30 – usiłuję otworzyć nieposłuszne powieki, podczas gdy budzik siłą wyciąga mnie z łóżka i prowadzi do kuchni. Tam razem z ekspresem gotujemy nieco kawy. Lodówka proponuje mi wczorajszy obiad, na co mikrofalą zapala się z podekscytowaniem. Kuchnia cieszy się obecnością studenta - wie, że zobaczy go dopiero wieczorem, po całym dniu zajęć... Tymczasem telefon alarmuje, że za 5 minut zaczynają się pierwsze wykłady.

9:57 – komputer mruczy jak rozespany kot, który widzi właściciela po krótkiej drzemce. Zapowiada się długi dzień, a ja mam nadzieję, że w końcu dogadamy się bez większych problemów. Ekran? Świeci. Klawiatura? Jeszcze klikają na niej najpotrzebniejsze klawisze. Myszka? Nigdzie nie uciekła.

10:00 – otwieram przeglądarkę internetową, wpisuję login, hasło i pojawia się przede mną uśmiechnięty wykładowca, który wita mnie w kolejnym, pięknym dniu. Na czacie obok widzę znajomych z roku, którzy pozdrawiają się ochoczo. Wykładowca pyta, czy chcielibyśmy poruszyć jakąś kwestię dotyczącą naszego ostatniego spotkania, na co ja żywo reaguję - niestety bezskutecznie. Mikrofon stoi przede mną bez życia, odłączony od komputera. Szybko wtykam kabel w komputer i już chcę zadać pytanie, gdy wokół mnie zapada grobowa cisza. To głośniki odmówiły posłuszeństwa. Momentalnie rzucam się do ustawień dźwięku, żeby móc znowu słyszeć wykład, gdy napotkam mojego arch nemesisa. Ekran robi się biały, a na środku stoi On, dinozaur ryczący na mnie „No internet”. Moje przekonania, że potrzebuję połączenia, komunikat ma sobie za nic i uparcie twierdzi, że sieć jest przeciążona, dlatego nie ma zamiaru mnie obsłużyć.

12:00 – siedzę wgapiiony w ekranik telefonu, w którym próbuję odczytać równania zapisane na e-tablicy przez prowadzącego zajęcia. Wszystkie rozpoznane litery skrzętnie zapisuję w zeszytach, w miejscach niepewnych piszę szlaczki.

15:00 – udało się. Mimo początkowej „bieganiny” zdołałem dotrzeć na każde zajęcia i zadowolony z siebie „wracam z uczelni”, wciskając przycisk „wyloguj”. Delektowanie się wiktoria przerywa telefon. Dzwoni znajoma nauczycielka z liceum: „Czy możemy się spotkać? Potrzebuję pomocy z naprawą chmury”. Dwie minuty później oboje siedzimy na wideokonferencji, próbując ściągnąć zagubione pliki z chmury i wrzucić je z powrotem do komputera. Po godzinie osiągamy sukces.

16:05 – dostaję sygnał komórkowy od rodziny, chcą mnie odwiedzić. Odpalam kamerę w telefonie, jednocześnie próbując przynajmniej trochę ułożyć włosy – całkowicie bezskutecznie – by zobaczyć uśmiechniętą twarz mamy i trochę mniej szczęśliwe twarze braci. Plotkujemy chwilę o tym, co robiliśmy w ciągu dnia, a między słowami zagaduję rodzicielkę o skwaszone miny rodzeństwa. Niestety, ich szkoła internetowa swoich uczniów nie rozpieszcza. Dowiaduję się o pracach z przedmiotów, które za kilka dni chłopaki będą musieli oddać oraz o materiale, który mają za zadanie przerobić. Presja jest dość duża, bo nauczyciele w różnym stopniu są w stanie wytłumaczyć najważniejsze zagadnienia zza szkła ekranu, a uczniowie działają całe dni bez środowiska rówieśniczego. Trudno tutaj mówić o prawdziwym kontakcie...

17:00 – rozmowę przerywa mi dźwięk dochodzący z głośników, to profesor woła na popołudniowe zajęcia. Wpinam pianino w komputer i gram wraz z nim, ucząc się zawitych reguł harmonii klasycznej, różnorodnych modulacji, progresji i innych czarów...

18:30 – czas się nieco przewietrzyć. Wychodzę na dwór, żeby złapać przynajmniej trochę słońca. Za siatką widzę sąsiada, pracuje w ogródku. Przez moment waham się, czy do niego nie zagadać, ale szybko uświadamiam sobie, że w ciągu dnia miałem już i tak za dużo kontaktów międzyludzkich. Wieczorem umówiłem się już na spotkanie w gronie znajomych. Będziemy rozmawiać w kilkanaście osób, więc mam nadzieję, że łączy nie będzie zbyt często przerywało...

1:00 – próbuję zasnąć, ale znajoma coś do mnie napisała, jeszcze tylko jej odpiszę.

1:30 – próbuję zasnąć, ale nie mogę. Ciało odmawia.

Grzegorz Samson

UCZNIOWIE O ZDALNYM NAUCZANIU

MILA: Nikt nawet nie pomyślał o tym, że taka sytuacja, w jakiej teraz wszyscy się znaleźliśmy, może mieć kiedykolwiek miejsce. Nikt się tego nie spodziewał. To spadło na nas nagle i cały świat stanął na głowie. Coś, co kiedyś wydawało się nam normalne i codzienne, nagle przestało istnieć. Przestało istnieć życie publiczne, wszystko zamknęło się jakby w klatce, w której każdy z nas teraz żyje. I choć wszystko się zmieniło, to niektóre rzeczy nadal muszą trwać. Jedną z tych rzeczy jest właśnie szkoła i nauka. (...) Moim zdaniem, największym minusem nauczania zdalnego jest brak bezpośredniego kontaktu z nauczycielem. Kontakt i bezpośrednie relacje w szkole od zawsze były jej nieodłącznym i niezbędnym elementem, dlatego teraz nam, uczniom, trudniej się pracuje, doszliśmy do wniosku, że to jest jednak niezastąpione. Brakuje też bezpośrednich relacji z rówieśnikami, dzielenia się swoimi spostrzeżeniami i uwagami, po prostu posiadania tej myśli, że nie jesteśmy sami - że jesteśmy całą klasą i dzięki temu mamy coś w rodzaju siły, która pozwala nam pokonywać wspólnie codzienne problemy szkolnego życia...

JULIA: Uczymy się i wykonujemy zadania w domu, przez Internet. Według mnie taka forma nauki jest lepsza od tej tradycyjnej. Zadania możemy robić w swoim tempie, nikt nas nie pośpiesza oraz możemy wykonać je w dowolnej części dnia. Nie mamy również narzuconych godzin lekcyjnych (...). Oprócz tego nie musimy wstawać o wczesnych godzinach i martwić się dojazdem czy powrotem ze szkoły. Mam więcej czasu na hobby i pasje oraz zajmowanie się sobą i swoimi zwierzętami.

NIKOLA CHOMENKO: Nauczyciele traktują nas partnersko i są dla nas bardziej wyrozumiali. Nie jesteśmy oceniani za wygląd, postawę i emocje nie biorą górę. Również ten sposób jest bardzo dobry dla osób, które nie zdają przez niechęć chodzenia do szkoły, ponieważ mogą zostać w domu i się podciągnąć w ocenach.

IGNACY BARYŁA: Nic nie zastąpi bezpośredniego kontaktu z nauczycielem, który może dokładnie wytłumaczyć temat i wyjaśnić wszystkie wątpliwości. Teoretycznie można zwrócić się do nauczyciela w formie pisemnej, ale w praktyce jest to często niemożliwe do zrealizowania. W formie mailowej mogłoby to trwać w „nieskończoność”.

Po drugie - trudno jest zmotywować się samemu do pracy. W szkole na lekcji jest dużo łatwiej, bo czy się chce, czy nie chce, to na tej lekcji się jest. (...)

Nauczanie zdalne można porównać do piosenki Jacka Kaczmarskiego „Epitafium dla Włodzimierza Wysockiego”, w której usłyszeć można: „To moja droga z piekła do piekła, w dół na złamanie karku gnam. Nikt mnie nie trzyma, nikt nie przeświecła, nie zrywa mostów, nie stawia bram.”

Uczniowie anińskiego LO

Dariusz Osiński

REZYDENT

Co się gapisz, kocie!
Wydaliśmy na cię krocie
za te cztery pokolenia wstecz,
rzekomo hrabiowski miecz,
a ty wolisz na noc krzaki
- i los przecie byle jaki -
od kanapy w ciepłe domu...
Wolisz czyhać po kryjomu
zamiast pańskie nogi grzać,
taka twoja kocia mać!

Dziwne, że na miskę wpadasz,
jeszcze coś pod wąsem gadasz
i łaskawie też, niestety,
korzystasz z domowej kuwety...
Rezydencie, taki owaki!
A idź sobie w swoje krzaki!

Katarzyna Nowak

SUBTELNOŚĆ SÓJEK

Rzeźkim rankiem zielonym
przyleciały sójki do sadu
jedna dwie trzy małe stadko
na gałęziach zdziczałej śliwy.

Wesołe ciekawskie jak zawsze
ale jakże subtelne w tej godzinie sennej
półgłośno zagruchały i tup tup tup
jedna po drugiej skrajem dachu przebiegły

i tylko zbudzony poeta może
zaświadczyć o tej porannej wizycie

Barbara Mildner

PRZYJACIEL ZE SCHRONISKA

Ty, z bożej łaski,
arystokrato!
Karmię cię, poję,
a ty - co na to?
Pazur wysuwasz,
dąsasz się, fukasz!
Czy aby czasem
guza nie szukasz?

Głaszczę.
Jak tylko umiem zabawiam.
Najlepsze kąski
pod nos podstawiam!
A ty... serwujesz
miny znudzone
i się odwracasz, kocie,
ogonem!

Cudów od ciebie
nie oczekuję.
Sam wiesz,
że kiepsko się zachowujesz.
Już zapomniałeś,
stary sierściuchu,
jak to mieszkano się
na *Paluchu*?

Agnieszka A. Lorek

JESTEM

Czasem sobie myślałam,
Będąc wciąż pacholęciem,
Dlaczego jestem człowiekiem,
A czemu - nie zwierzęciem?

Czemu - zamiast jak Wisła
Wić się w rzecznych meandrach
Kokardę mam wpiętą w warkoczek
A imię mam - Aleksandra?

I czemu to upita kwiatka
Bzu majowego zapachem
Nie jestem roślinką wiosenną,
Lecz dzieckiem z łąkiem przed Strachem?

Na lekcjach w obłokach bujając
Tak się zastanawiałam,
Dlaczego nie jestem tablicą?
Po lekcjach w kozie siedziałam?

I wszystkim być jest ciekawie:
Pyłem, perzem czy traszką,
Westchnieniem być głębokim,
Poety prostą fraszką...

A zamiast tego ja - czasem Agata
- ja, tak człowiecze istnienie,
Byłam i jestem na świecie
Najdziwniejszym stworzeniem!

Anna Popis-Witkowska

na moich oczach
zabito drzewo
byłam niemym
bezzadnym świadkiem

codziennie będę patrzeć
ze swojego okna
wprost na tę bliznę

codziennie będę słyszeć
płacz oszalałej miejskiej driady

zbyt głośny jest świat ludzi

wolę ciszę
między drzewami

wolę spokój
głębokich westchnień
zwierząt

koniom
psom
kotom
mniej obca jestem
niż ludziom

NIELUDZCY PRZYJACIELE

My, ludzie, jesteśmy tylko częścią życia, które panoszy się na planecie, zwanej Ziemią. Nie patrzymy na inne twory z pychą, właściwą Homo sapiens. Możemy się przyjaźnić nie tylko ze zwierzętami, jakże różnorodnymi, ale – z drzewami, roślinami, najdziwniejszymi formacjami przyrody. Jak napisał C.S. Lewis: „Przyjaźń jest niekonieczna, jak filozofia lub sztuka. Nie ma znaczenia do przeżycia. Raczej jest tym, dla czego warto żyć”. Ale ostatnie badania naukowe dowodzą, że przyjaźń... jest starsza, niż ludzkość... I ważna. I bywa potrzebna do przeżycia.

Joanna Wąsik

SZARAK

Od wczesnego dzieciństwa pragnęłam mieć psa. Było to marzenie dotychczas nigdy nieziszczone. Ale pewnego dnia – zupełnie przypadkowo – stałam się właścicielką... kotów. Zgodziłam się bowiem nieopatrnie wyszukać domu dla nowego miotu kotki mej znajomej i – stałam się opiekunką dwójki z nich, nawet ostatniego, szarego kociaka, na którego niestety nikt nie miał ochoty. Jego los został przypieczętowany, gdy namawiałam przez telefon kolejną potencjalną opiekunkę, a maluch zaczął wspinać się po zasłonkach w górę. Krzyknęłam wtedy: szarak, nie wolno! I uznałam, że Szarak, to jest świetne imię dla niego. (Wtedy poznałam też pewną ważną regułę: jeżeli chcesz oddać komuś zwierzątko, nigdy, prze-nigdy, pod żadnym pozorem nie nadawaj mu imienia, nawet niechcący. Jeśli to zrobisz, nigdy go już nie oddasz, bo on stanie się taki twój). Został u mnie.

Miałam zatem dwa kociaki: świadomie przysięgnęłam kotkę Małą i kotka... Szaraka. Rodzeństwo było bardzo ze sobą zżyte i doskonale się bawiło. A ja patrząc na nie też miałam sporo zabawy. Rosły sobie i udowadniały, że można zaprzyjaźnić się z kotami.

Kiedyś zauważyłam, że Szarak dziwnie się zachowuje. Stał się jakiś niemrawy, niedotykalny. Z łokcia na przedniej łapce wyciekała mu ropa. Poszłam z nim do weterynarza. Podobne dwie rany miał na brzuchu. Nic dziwnego, że piszczał, gdy chciałam go wziąć na ręce. Ani razu jednak nie zachował się w stosunku do mnie agresywnie.

Szarak miał trzy duże ropnie. Pani doktor nożyczkami usunęła skrawki futerka, nieco skóry. Nie była to dla kota największa pieśczoła świata, więc oczywiście próbował się wyswobodzić. Na przeszkodzie stałam ja. Trzymałam go w żelaznym uścisku. Kotu nie pozostało nic innego, jak poddać się. Jego mina mówiła: i ty, Brutusie!?

Bałam się, że gdy go puszcze, pierwszą rzeczą jaką zrobi, będzie ucieczka jak najdalej ode mnie. Gdy puściłam Szaraka ze zdradzieckiego uścisku na podłogę, podszedł i łebkiem otarł się o moją nogę, a potem – przytulił się do mnie i zamruczał. Podziękował... mądry przyjaciel – kot.

Jolanta Koczorowska

WSZYSTKIE MI BLISKIE

W moim domu zawsze były jakieś zwierzęta, przeważnie psy i koty. Okresowo zdarzały się też ryby i ptaki, i to nie tylko zwykłe papużki, lecz np. kawka Maja, która jako pisklę wypadła z gniazda. Była z nami kilka miesięcy, od wiosny do jesieni, aż nauczyłam ją latać. Zaprzyjaźniła się nawet z naszym długowłosem, czarno-białym kundelkiem Mekiem, który bardzo lubił kłaść się na trawie, a kawka chodziła po nim od głowy do ogona i jak kura grzebała pazurkami w jego sierści. Sąsiedzi przychodzili oglądać to widowisko. Gdy już nauczyła się latać i wróciła do swojego naturalnego środowiska, jeszcze przez kilkanaście tygodni przylatywała, gdy rano wychodziłam na ganek i wołałam - Maja, Maja. Z impetem lądowała na moim ramieniu, przechylała łebek i słuchała z uwagą, gdy do niej mówiłam jakby wszystko rozumiała. Niestety następnej wiosny, mimo wołania już się nie pokazała.

Teraz mimochodem mam koty. Mimochodem, gdyż kocie rodzeństwo – Figę i Kaja, które kilkanaście miesięcy temu przysięgnęła moja synowa, przeniosło się do mnie bez pytania, gdy do rodziny syna dołączył niezwykle żywiołowy i trochę, co tu ukrywać, niezrównoważony piesek ze schroniska. Koty postanowiły znaleźć spokojny azyl u mnie. Tu dla wyjaśnienia dodam, że mieszkamy w tym samym domu, ja na parterze, a syn z rodziną i psem Roketem na piętrze. Z kotami natychmiast znalazłam wspólny język i stały się moimi nieodłącznymi towarzyszami. Każdy, kto miał do czynienia z kotami, wie, że to istoty inteligentne i niezależne, mające bardzo indywidualne upodobania. Figa niechętnie wychodzi z domu i nie lubi innych kotów, za to towarzyszy mi w moich ulubionych zajęciach. Oglądamy razem *Szkoło Kontaktowe*, kserujemy dokumenty i szyjemy maseczki, zawsze stara się leżeć mocno przytulona do mojej nogi, gdy czytam lub robię na drutach. Kaj to powšinoga i ma w okolicy kilku fajnych kolegów, z których jednego gościnnie przeprowadza na wyżerkę. Kaj bardzo lubi spacerować ze mną po ogrodzie i nawet towarzyszy mi, gdy odwiedzam sąsiadów. Chciałby oczywiście być w centrum zainteresowania, więc gdy zrywałam winogrona u sąsiadki (bo moje w ubiegłym roku „nie obrodziły”), Kaj miał obrażoną minę i demonstrował niezadowolenie, siadając do mnie tyłem, ponieważ zapelniałam kolejne pojemniki i musiał opuszczać swoje ulubione miejsce w pudełku, a przecież to on powinien być najważniejszy, nie jakieś owoce.

Przez te wszystkie lata wciąż nie mogę zaakceptować tego, że zwierzęta żyją krócej i odchodzą do innego świata (nie wiem czy lepszego), a mnie pozostaje tylko tęsknota.

Teresa Szymczak

PRZYJAŹŃ TRWAŁA KRÓTKO

Z psychicznej zapaści – po remoncie w kuchni i bałaganie z tym związanym – pomogła mi wyjść Bardzo Ludzka przyjaciółka, z gatunku tych, które o przyjaźni nie gadają, a ją okazują. Po prostu wzięła się za sprzątanie. Rezultatem tego była między innymi pięknie lśniąca szyba kuchennego okna. Pewnego dnia na środku tej szklanej tafli, od strony moich leśnych zarośli zauważyłam lewitującego w powietrzu pająka. Ani był duży, ani mały, łatwo rozpoznawałam jego kształty. Nie należę do tych, którzy pajaków się lękają, a nawet cierpią na pająko-fobię. Przyglądałam mu się z zainteresowaniem, bowiem tkwił tak nieruchomo – w powietrzu. Ale rychło okazało się, że...rozciągnął za oknem ogromną, ledwie zauważalną sieć. To w środku



niej pozostawał nieruchomo, oczekując na podobne mnie, słabo widzące stworzenia. Wkrótce lądowały one w pajęczynie pragnąc dostać się do mego mieszkania.

Co dzień, o świcie – i nie tylko – szłam do tego okna, aby zobaczyć, co zaszło w sieci. W ciągu dnia zdarzało mi się widzieć, jak jakieś namolne mole szamotały się bezskutecznie; pająk do nich nie biegał; czekał, aż się uspokoją. Potem dostojnie, powoli sunął po pajęczej nici do ofiary. Resztki po uczcie pozostawały, przez co poznawałam, kto do mnie nie wleciał...Moja fascynacja pajakiem wzmagała się, nie słabła, co denerwowało moją Bardzo Ludzką przyjaciółkę. „Wymyję ci to okno znowu” – proponowała. Protestowałam. Pająk już był moim porannym przyjacielem. Od obserwacji jego poczynąń zaczynałam dzień, patrzyłam też, co robi w świetle południowego słońca. Pewnego jesienno-ranka nie zastałam go w pajęczynie. Przez kilka dni oczekiwałam go, mając nadzieję, że może tylko na chwilę gdzieś się ukrył.

Nie tracę nadziei, że wiosną zobaczę go znowu. Tylko – muszę umyć okno. Jest dla niego zbyt mało lśniąco...



*Tak
dba
się
o
przyjaciół.*

*Od
lewej:
Neska,
Holka,
Milka
i
Gucia
Adamczykówne
przed
wycieczką
do
lasu
w czasach
pandemii*

*fot.
Wojciech
Adamczyk*

Aldona Kraus MATEŃKA I MYSZ

To już rok naszej znajomości - przyjaźni - powiedziała Zofia do siedzącej na biurku myszy, odrywając się od pisania. Mysz przechrzywała łebek. Czarne paciorki oczu spoglądały z uwagą na mówiącą. Kobieta uniosła dłoń i delikatnie pogłaskała mały szary grzbiet. Wiesz, że nie robię tego często, ale dziś trochę czułości nam nie zaszkodzi.

Mysz uniosła łebek i powąchała głaszczące ją palce. A jeszcze tak niedawno nie dałaś się dotknąć, bo zaraz uciekałaś i to nawet bez wypicia twojej ulubionej herbaty.

Pamiętam tę listopadową noc, w którą się poznałyśmy. Była czarna jak smoła. Wszyscy domownicy spali, a ja jak zwykle, nareszcie po całym dniu pracy miałam czas na spokojne myślenie i pisanie o tym, co robię. Przeszczep szpiku, leczenie nim - nadzieja dla tyłu chorych.

Coś, ktoś, skrobał delikatnie tuż przy listwie podłogowej. Spojrzałam w tamtą stronę i zobaczyłam ciebie. Witaj - powiedziałam, a ty bez żadnego strachu, bez wahania, po krześle wdrapałaś się na biurko i w bezruchu zastygłaś tuż koło filiżanki z parującą herbatą.

Od tego czasu minęło właśnie dwanaście miesięcy, jak razem piszemy moje prace. Polubiłaś i mnie, i herbatę. Pijesz ją zawsze ze spodeczka, a ja moja kochana, śmieję się i wiem, że znasz moje myśli lepiej niż ktokolwiek. Teraz w świetle lampy jesteś różowo złota.

O takiej, nie ludzkiej, pięknej i prawdziwej przyjaźni opowiadała nam moja mateńka, zawsze ze wzruszeniem, i zawsze z żalem, bo przyszedł taki wieczór, kiedy jej przyjaciółka nie wyszła zza podłogowej listwy.

Dlaczego? – pytałśmy ja i mój brat okropnie zmartwieni. Przyszedł na nią czas powrotu do raju, ale w sercu będzie na zawsze – i tak musi być.

Krzysztof Mildner NAJLEPSZY PREZENT

To był słoneczny, czerwcowy ranek 1969 roku. Denerwowałem się, ponieważ czekał mnie egzamin z języka polskiego. Mieszkałem na Mokotowie i do LO im. Królowej Jadwigi, gdzie zamierzałem kontynuować naukę, miałem zaledwie kilka minut drogi. Wyszedłem jednak z domu ze sporym zapasem czasu. Przed klatką schodową siedział mały, brązowy psiak. Kątem oka zauważyłem, że ruszył za mną. Kiedy przystanąłem, podszedł i dał się pogłaskać. Towarzyszył mi, zachowując jednak niewielką odległość, aż do budynku liceum.

Skupiając się na pisaniu wypracowania, nie myślałem o kundelku, ale kiedy, po trzech godzinach, wyszedłem z egzaminu, zauważyłem go siedzącego przy schodach. Podszedł właśnie do mnie, chociaż przed szkołą zgromadziło się mnóstwo młodych ludzi.

Znów mi towarzyszył, tym razem w drodze powrotnej do domu. Śmiało wszedł na klatkę schodową, a potem do mieszkania. Nie chciałem się z nim rozstawać, ale rodzice uznali, że trzeba poszukać właściciela zguby. Jeszcze tego samego dnia rozwiesiłem na okolicznych słupach ogłoszenie o przybłąkanym psiaku, po którego jednak nikt się zgłosił.

Kiedy dostałem zgodę na „adoptowanie” kundelka, skakałem ze szczęścia. Jednak moja radość trwała krótko. Pies okazał się być suczką i do tego szczenną. Nie mieliśmy, niestety, warunków na przysparzenie licznej, psiej rodziny. W ciągu dwóch dni znaleźliśmy dla suczki wspaniały, szczęśliwy dom na wsi niedaleko Warszawy.

W sierpniu dostałem spóźniony, imieninowy prezent – pięknego, brązowego szczeniaczka, idealną kopię swojej mamy. Ami, bo tak dałem mu na imię, był moim najlepszym przyjacielem przez piętnaście lat.

Agata Gładkowska JAK NIE ZOSTALIŚMY PRZYJACIÓŁMI

W deszczowe lata lasy wawerskie pełne są grzybów, zwłaszcza kurek, o ile nie zjedzą ich dziki. Mam swoje tajemne kurkowe miejscce, pięć minut od domu, ukryte w gęstych zaroślach. Wybrałam się tam pewnego poranka i schylona rozgarniałam zeszłoroczne dębowe liście. W pewnej chwili podniosłam wzrok... Trzy metry dalej stał jak wryty całkiem spory dzik. Zamarł, z przerażeniem wpatrywał się we mnie. W jednej chwili oboje – ja z wrzaskiem, on z dzikim kwikiem – odwróciliśmy się i uciekliśmy w przeciwnych kierunkach.

Wojciech Adamczyk

RAEHLNER

Mercedes GLE poruszał się sprawnie leśnym duktem. Krystian Pawelczyk, mimo siedemdziesięciu pięciu lat ciągle wiedział, do czego służy kierownica. Kłął nieco pod nosem na warunki jazdy, bo już 15 minut temu zjechał z lokalnej asfaltowej drogi, ale tylko nieco, bo miał wreszcie nadzieję spełnić swoje marzenie: zbudować wielką rezydencję w leśnej głuszy, z własną elektrownią słoneczną, lądowiskiem dla helikoptera, kortem, basenem i innymi wymyślnymi wynalazkami. To miało być ukoronowanie pełnego sukcesów życia biznesmena, prezesa kilku giełdowych spółek, dwukrotnego podsekretarza stanu. Oferta, jaką otrzymał, była atrakcyjna: 20 hektarów lasów, łąk i pośrodku własne jezioro z wyspą. Cena była spora, ale Pawelczykowi nie zależało na tanim zakupie. Pieniądze nie stanowiły problemu.

Mercedes wynurzył się z lasu. Rozpościerała się przed nim piękna łąka, a kilkaset metrów dalej błyszczała tafla jeziora. W srebrnym punkciku, który rósł w miarę zmniejszania dystansu Pawelczyk z uznaniem rozpoznał Prevosta H3-45, prawdziwą willę na kółkach, luksusowo wyposażonego gigantycznego kampera z USA. Czyli sprzedawca był człowiekiem poważnym a transakcja dobrze rokowała!

Pawelczyk zaparkował obok Prevosta i wysiadł z samochodu. Po drugiej stronie łąki, pod lasem zauważył kilka maszyn budowlanych. Nie zastanawiał się nad nimi długo, gdyż boczne drzwi Prevosta otworzyły się i stanął w nich szpakowaty mężczyzna w ciemnym garniturze.

- Dzień dobry, czy mam przyjemność z panem Pawelczykiem? – zapytał nieznajomy z lekkim cudzoziemskim akcentem.

- Tak, to ja.

- Zapraszam do środka, pani Agata czeka.

Zaskoczony Pawelczyk wszedł po schodkach do wnętrza. Nie podejrzewał, że kobieta może lubić tego rodzaju środek lokomocji. Salon urządzony był wykwintnie, włoskie kanapy i fotele z jasnej skóry zaprojektowane na wymiar, meble z egzotycznych gatunków drzew, barek, wielki telewizor, nowoczesne rzeźby i obrazy tworzyły imponującą całość. Z fotela podniosła się siwowłosa starsza pani w ciemnej garsonce i czarnych szpilkach z czerwoną podeszwą. Wyciągnęła rękę w przyjaznym geście.

- Agata Bonnard. Miło mi pana poznać.

- Krystian Pawelczyk. Piękna posiadłość na kółkach, nie mogę wyjść z wrażenia.

- Prevost to była duma mojego nieżyjącego męża, Auguste'a. Lubił takie zabawki. Jak dla mnie za duża, ale co my, kobiety, wiemy o samochodach? – zaśmiała się – Napije się pan czegoś?

- Może odrobinę koniaku, nie widziałem patroli po drodze – mrugnął okiem Pawelczyk.

Szpakowaty mężczyzna, najwyraźniej opiekun lub lokaj, nalał dwa kieliszki Remy Martin. Podał trunek obojgu.

- Zatem interesuje pana moja ziemia... – zaczęła rozmowę Agata.

- Tak, to piękna, choć droga posiadłość... Osiem milionów euro... – odpowiedział skosztowawszy trunku Pawelczyk.

- Za skromne kilkadziesiąt tysięcy euro dostałby pan zwykłą działkę budowlaną w niezłej okolicy... A to jest miejsce szczególne: dla kogoś z klasą.

- I z niezłym portfelem – zauważył Pawelczyk.

- To prawda – uśmiechnęła się Bonnard – ale za urodę trzeba płacić.

- Pod lasem stoją maszyny budowlane. Kroci się jakaś inwestycja? Zależy mi na terenie z minimalną ingerencją człowieka.

- Proszę się nie obawiać. Rozpoczęłam budowę drogi, ale oczywiście można to zatrzymać. Smakuje panu koniak?

- Doskonale...

Pawelczyk chciał powiedzieć jeszcze coś na temat trunku, ale nagle świat zaczął dookoła tracić ostrość i zanim zdążył coś dodać, pogrążył się w głębokim śnie.

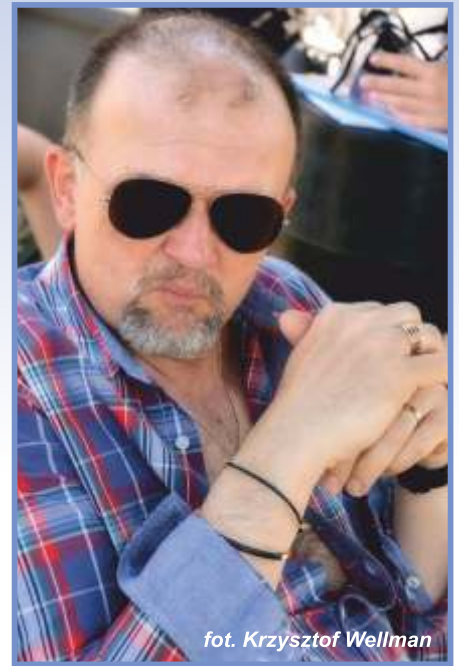
★

Zamrugnął oczami. Powoli budził się z ciężkiego snu, zaczęło do niego docierać, gdzie się znajduje. Siedział w swoim samochodzie przyczepiony taśmą montażową do fotela. Taka sama taśma zalepiła mu usta. Mercedes nie stał jednak na łące przy luksusowym domu na kółkach. Znajdował się w głębokim na kilka metrów wykopie – za oknami był widoczny przekrój gleby, warstwa po warstwie, różnokolorowe nad podziw, geolog pewnie zagwizdałby z podziwu. Na brzegu wykopu stała koparka, z której wysiadał szpakowaty mężczyzna.

- Ocknąłeś się?

Pawelczyk z trudem odwrócił głowę w stronę, z której dobiegał głos. Agata Bonnard siedziała obok niego i paliła papierosa.

- Mam nadzieję, że dym ci nie przeszkadza? Opowiem ci pewną historię. W październiku 1982 roku pewna rodzina wybrała się na spacer. Mężczyzna, jego żona w ciąży i dwie córeczki. Był to w Polsce trudny czas, stan wojenny, demonstracje, napięcia wewnętrzne. Prawda, po co to mówię, przecież jesteś Polakiem. Tyle razy tłumaczyłam to Francuzom, ale niewiele rozumieli. Pytali, czemu polski parlament nie zaprotestował przeciwko stanowi wojennemu...



Dobre, co?... Rodzina, o której mówię, nie zajmowała się polityką, skupiała się samolubnie na sobie... Dzieci były sensem jej istnienia. Tego dnia oficer bezpieczeństwa, Krzysztof Dreszer wracał do domu samochodem. Był pijany. Postawił kolegom wódkę na komendzie z okazji awansu. Sporo wypili. Był pewnie bardzo wesół, bo nie zauważył przejścia dla pieszych. Z pełną prędkością wjechał w przechodniów służbowym polonezem. Mężczyzna i jedna z dziewczynek zginęli na miejscu, drugie dziecko po dwóch dniach zmarło w szpitalu. Kobieta też trafiła do szpitala, przeżyła, chociaż dziecko, które nosiła w brzuchu, umarło. To był chłopiec. Po wyjściu ze szpitala próbowała dojść sprawiedliwości, ale koledzy i przełożeni mordercy – bo to było morderstwo! – zadbali, aby kara nie dosięgła winowajcy. Na komendzie rzucałam się do gardła temu mordercy, ale on się tylko śmiał. Śmiał mi się w oczy... Prokurator orzekł, że rodzina wtargnęła na pasy, manifestując przeciwko władzy, że to była prowokacja. Nie mogłam nic zrobić. Człowiek, który zabił mi męża i troje dzieci rozplątał się w powietrzu, po prostu przestał istnieć. Wynajęty adwokat zrezygnował ze sprawy, gdy poprzecinano mu opony w samochodzie. Dzięki pomocy rodziny wyjechałam za granicę. Nie wiedziałam, jak żyć, po co żyć...

Próbowałam się zabić, ale odratowano mnie. Za mało połknęłam relanium, zabrakło kilku tabletek... Żyłam u ciotki we Francji jak w odrętwieniu. Po kilkunastu miesiącach zaczęłam uczyć się francuskiego, poszłam na studia, jako uciekinier polityczny, ułatwiano nam to. Zaczęłam pracę sekretarki w firmie farmaceutycznej i tam poznałam Auguste'a. Auguste Bonnard był prawdziwym dżentelmenem, światowcem o nieskazitelnym manierach i niezwyklej wrażliwości. Zakochał się we mnie. Powiedziałam mu, że moje serce jest rozbite, żyję cały czas tym, co mnie spotkało, ale on to zaakceptował. Przyjął to, co mogę mu zaofiarować i zaopiekował się mną. Wysłałam za niego. Ten mężczyzna przy koparce to nasz syn, Jerome. Nauczyłam go mówić po polsku, nieźle prawda? Auguste nie żyje od sześciu lat. Jego firma odniosła gigantyczny sukces i dzięki spadkowi stałam się bogatą kobietą. Obrzydliwie bogatą. Wspierałam różne fundacje, zajmowałam się sierotami, psami, walczyłam z głodem w Afryce, ale nie mogłam odnaleźć sensu egzystencji. Żyłam jak ogłuszona, w szklanej klatce... do czasu, gdy przyjechałam na groby rodziców do Polski i w telewizji zobaczyłam ciebie. Twojej twarzy nigdy nie zapomnę, Krzysztofie. Zmieniłeś imię... Krystian, ładne... Zmieniłeś nazwisko, twoja matka Zuzanna była z domu Pawelczyk, prawda?... Jak widzisz, wiem o tobie sporo. Ale to nic dziwnego, przy moich pieniądzach... Osiągnąłeś sukces, zdobyłeś majątek, brawo... Ale pozostał rachunek do zapłacenia. Za moje życie! Musisz ponieść karę, Krystianie czy Krzysztofie, jak wolisz... Ale nie jestem bez serca.

Agata wyrzuciła niedopałek przez otwarte okno, zamknęła je, z torebki wyjęła opakowanie tabletek nasennych, butelkę wody i nóż. Nożem uwolniła od taśmy prawą rękę mężczyzny.

- Jak będziesz chciał, połkniesz tabletki i popijesz wodą. We śnie nie poczujesz, że brakuje ci powietrza. Odejdiesz spokojnie.

Oderwała taśmę z ust Pawelczyka. Mężczyzna miał obłęd w oczach.

- Nie możesz tego zrobić – wychrypiął – znajdą cię!

- Kto? – zaśmiała się Agata – Tutaj?!

- Proszę, daj mi szansę, a naprawię wszystko...

- Właśnie ją masz. Twoja śmierć będzie jakąś rekompensatą.

Agata wysiadła z samochodu. Syn rzucił jej linę i kobieta z trudem wdrapała się na brzeg wykopu. Pawelczyk bardzo głośno krzyczał, gdy Jerome wsiadł do stojącego obok koparki buldożera i pierwsze grudy ziemi uderzyły o szybę auta.

★

Agata paliła kolejnego papierosa, gdy buldożer wyrównywał ziemię w miejscu, gdzie kilkanaście minut temu znajdował się wykop z Mercedesem. Tylko świeżo poruszona gleba wskazywała na to, że w tym miejscu mogło się coś dziać. Jerome wysiadł z buldożera. Agata podała mu torbę z nasionami.

- Posiej, synku, trawę... a potem odprowadź koparkę i buldożer na miejsce. Chciałabym już wracać do Strasburga. W przyszłym tygodniu zaczną pod lasem budować schronisko dla psów. Pieski będą miały piękny widok. Z radością tu jeszcze kiedyś przyjadę.



Teresa Szymczak O jeżu!

Ogród nasłoneczniony od wschodu i południa przyciąga na moją stronę gałęzie wszystkich sąsiadujących drzew, w rezultacie czego, jesienią, mam niebywale obfity zbiór... listowia wszelkiego rodzaju. Zmęczona jego znoszeniem na kompost ułożyłam wokół ogromnego pniaka imponujący ich stos, żeby sobie doczekał wiosny i moich sił wiosennych. Kiedy wiosna przyszła, ruszyłam do kupy liści. Sięgnęłam ręką, a wtedy wyskoczył z niej... potwór czarny, okrągły i straszny. Był jednak nie mniej przerażony niż ja, bo kula przeistoczyła się błyskawicznie w najeżonego... jeża. Zrozumiałam, że to zapewne pani jeżowa uwiła sobie tam gniazdo. Żyje w moim ogrodzie, ale... omijamy się mało przyjaźnie; bo zwykle wyskakuje znienacka, przestraszona moim przybyciem, a ja zawsze myślę ją z czymś strasznym... Nie zawsze można się z kimś sprzyjać, jak z wiewiórką udało się to Mirce.

Zgrane pytanie Lenina „Sztó djełat?” stało się dojmująco aktualne. Izolacja, nakazana dla naszego dobra, sprzyja czytaniu. Świetnie, ale co czytać? Wobec zamkniętych wypożyczalni (falenicka już od listopada 2019) *homo legens* zdany jest na własne zasoby lub zakupy przez internet. Szczęśliwy ten, kto nagromadził odpowiedni zapas! Nie ja. Od kiedy skończyłam ostatnią książkę ze sporej sterty wypożyczonych wcześniej, jestem na głodzie. Sięgam więc z nadzieją (po raz czwarty) po niezawodną „Czarodziejską Górę” i znowu mam dziwne przeczucie zbliżającej się katastrofy. Oraz pewność, że nie dorastam do zrozumienia w pełni sporów prowadzonych przez humanistę Settembriniego z jezuitą Naphtą na temat tego, co jest dobre dla ludzkości i w jakim ona kierunku podąży. Ponadto czuję, że przymusowe zamknięcie w domu przypomina sytuację kuracjuszy słynnego sanatorium w Davos. Nabierają ważności błahy problemy, rutyna powoduje zagubienie w czasie.

W rozpaczę znów przeglądam własne półki, a tu pech, wszystko przeczytane. Niektórzy mogą sobie nadrabiać zaległości z Tokarczuk, ale ja już dwukrotnie zaliczyłam „Księgi Jakubowe”. Po Noblu powtórna lektura poszła jak po maśle. „Lalkę” też przeczytałam ponownie – pod wpływem znakomitego eseju Tokarczuk. Nowości można wprawdzie znaleźć w internecie, gdzie oferta przebogata, ale jeżeli ktoś, jak ja, musi najpierw wziąć do ręki dzieło i przeczytać pierwsze zdanie (jeżeli to kryminał, to ostatnie!), to rezygnuje z internetu. Na szczęście są czasopisma.

Z powodzi publikowanych mądrości niełatwo wybrać te najbardziej interesujące i trafne, ale pisanie felietonów to nie jest chlebek z masłem, tylko praca w pocie czoła. Jak zwykle cytuję po uważaniu, ujawniając swoje preferencje, a zarazem niejaki intelektualne deficyty. Trudno, niech czytelnik ma satysfakcję.

Pandemia spadła na ludzkość jak grom z jasnego styczniowego nieba ku przerażeniu niedowiarków i wiecznych optymistów. Tych, co za nic mieli ostrzeżenia ekspertów o nadciągających katastrofach. Podczas gdy u nas noworoczne prognozy skupiały się głównie na przebiegu kampanii wyborczej, w Wuhan, na „mokrych targach” już wykluwał się kolejny wirus z rodziny SARS: COVID-19. Niewątpliwym rezultatem ludzkiej pazyerności i głupoty.

Gdy wirus przeskoczył do Europy, a potem na inne kontynenty i ludzie zaczęli się lawinowo zarażać, umierać i cierpieć, nawet lekko duchy zrozumiały, że to wydarzenie o trudno wyobrażalnych konsekwencjach. Czytamy, że trzeba będzie zmienić prognozy gospodarcze, śmiało plany, przyjęte polityki, że zmieni się charakter wielu instytucji, w tym Kościoła.... Nic już nie będzie takie jak dawniej – ekonomia, szkolnictwo, chrześcijaństwo, stosunki społeczne i doktryny polityczne. Oto się staje się realiem, nawet bardziej realnym niż real, utrwała się zwyczaj jej nadużywania do złych czynów, a media podlegają przyspieszonej modyfikacji.

W tej sytuacji pojawiają się liczne krytyczne oceny przeszłych poczyną i nowe wizje przyszłości. Znany psychoterapeuta Bogdan de Barbaro zauważa, że wirus rujnuje pychę człowieka XXI wieku, wiarę, że jesteśmy panami tego świata. Że zabiera satysfakcję płynącą z przekonania o wszechpotędze rozumu. Zbigniew Mikołajko, filozof: „pandemia daje nam lekcje nieoczekiwanej kruchości życia”.

Dlaczego nas to spotkało? Dla ludzi wierzących, pytanie „*unde malum*” problem odpowiedzialności Boga za zło, stał się teraz szczególnie aktualny i dotkliwy. Gdzie jest Bóg w czasach nieszczęścia? mogą pytać wierzący i słyszą odpowiedź: „W chorych, w umierających, w lekarzach, w woluntariuszach. W każdym z nas jest miłością” (arcybiskup Grzegorz Ryś w Tygodniku Powszechnym).

I kolejne pytanie: czy warto się modlić w czasie epidemii, aby modlitwami powstrzymać zarazę? Ciekawą odpowiedź znalazłam u zdeklarowanego ateisty RP - prof. Jana Hartmana: tak, warto, bo modlitwa uwalnia człowieka od skończoności, aby mógł powrócić do niej silniejszy. Jest metafizyczną tęsknotą. Wymaga jednak „moralnego i intelektualnego napięcia (...), aby oddać się kontemplacji świata pozazmysłowego, słusznie nazwanego wyższym. I nie potrzeba do tego kapłana. Mój komentarz: kapłan, byle mądry, jednak się przydaje.

Odejdźcie od corocznych rytuałów religijnych, niemożność wspólnych modłów, wywołuje u wierzących silny dyskomfort. To nie jedyna radykalna zmiana w życiu ludzi

SPOD MASKI. LEKTURY CZASU ZARAZY



podczas zarazy. „Ten czas jest testem dla nas i dla bliskich” (twierdzi Olga Tokarczuk i nie tylko ona). Trafną analogię znalazł Paweł Drożdżiak publicysta „Gazety Wyborczej”: obecny rozwój sytuacji podobny jest do stanu liny stalowej, w której jedno pęknięte włókno nie jest groźne, ale kolejne - grożą katastrofą. Ewolucja nauczyła nas w takiej sytuacji się bronić, nasz system reakcji na stres zaczyna wariować, gdy zaleca się nam powstrzymanie się od normalnych działań. Człowiek stracił kontrolę nad własnym życiem, bo zbyt wiele zależy teraz od ślepego losu. Niektórzy jednak próbują zastąpić niedostateczne poczynania państwa samoorganizacją – na puste miejsce wchodzi empatia. Inni pogrążają się w samolubstwie albo depresji. „Czy jako społeczeństwo będziemy solidarni, czy skłóceni, gdy przyjdzie prawdziwy kryzys?” pyta publicysta, daremnie czekając na odpowiedź.

Temat draży socjolog, filozof i kulturoznawca Krzysztof Pacewicz. Na pytanie: „Ile po tym zostanie w nas człowieka?” odpowiada, że dzięki koronawirusowi może bogaci zauważą, że nie są odporni na globalne kataklizmy, a zdecydowana reakcja całej planety będzie nauką działania i solidarności? Sam jednak tę nadzieję studzi: „Niestety, rozum podpowiada, że w otchłani recesji o współdziałaniu międzynarodowym w ogóle nie będzie mowy”. Ponadto, pisze Pacewicz, środki nadzwyczajne przyjęte w stanie wyjątkowym stają się później nową normalnością. A przerażone śmiertelnym wirusem elity zgodzą się na wszystko, tak samo, jak masy i instytucje międzynarodowe. Zwykły kontakt międzyludzki będzie uznawany za niestosowny - „witajcie w sterylnym piekle” kończy efektownie autor, odbierając czytelnikowi tak potrzebną nadzieję.

De Barbaro próbuje znaleźć w pandemii przesłankę do optymizmu: „może popłynię z tej sytuacji jakaś cenna nauka dla niektórych”? Uważa, że lęk może wymusić refleksję, wesprzeć dotarcie do zachowań racjonalnych. Też bym chciała.

Pisarz Szczepan Twardoch rozważa, w jaki sposób przeżywamy czas, zwracając uwagę, że zawsze ludzkość miała z tym problemy. Oswajała więc czas w koła, w cykle, bez których zgubilibyśmy się w labiryncie lat. Także czas chrześcijański został poddany cyklowi, tłumiającym lęk przed pustką; dzięki nim łatwiej znieść życie. Katastrofy, pandemia przecinają koło czasu, zmuszając do przyjęcia liniowej logiki historii. To tragiczna konieczność. Człowiek czasu pandemii boi się przyszłości. Wspominając miniony czas, zdaje sobie sprawę, że dotąd żył w świecie, nad którym wisiło widmo zagłady. Ludzie wprowadzili delektowali się wizjami straszliwych katastrof w filmach i książkach, a nie spodziewali się takiej właśnie, cichej katastrofy. Zaczynają ją więc interpretować jako karę za grzechy przeciwko naturze (a pojawia się tu wiele różnych interpretacji, czym jest działanie przeciw naturze). Pisarz zaleca czekanie na koniec zarazy i nieustanne nadawanie sensu temu czekaniu i czasowi, jaki został nam dany.

Cytowany już Z. Mikołajko sądzi, że epidemia odarła społeczeństwa dobrobytu ze złudzeń – w tym ze złudzenia prawie wiekistej egzystencji. Miały ją jakoby gwarantować nauka i technologia, zdrowy tryb życia oraz państwo opiekuńcze. W porwie optymizmu filozof wyraża nadzieję, że może przetrwamy kryzys jako ludzkość dzięki empatii i powszechności cierpienia.

„Może przetrwamy, ale będzie zupełnie inaczej”, sądzi profesor Marcin Król. Za najważniejszy uważa obecnie problem ludzi zbędnych. Pandemiczny test wykazuje, że bez wielu pracowników sfery usług można się obejść. Ich praca nie będzie przydatna w nowej rzeczywistości społeczno-gospodarczej. Znaczenia nabiorą specjaliści, dotychczas dyskredytowani (określanii jako łże elity!). Wg Króla grozi nam potężny konflikt społeczny między ludźmi konkretnej wiedzy

a resztą, która powinna tę wiedzę nabyć jak najprędzej, aby nie znaleźć się w sytuacji nowych niewolników.

„Wirus zabije szkołę, jaką znamy. I dobrze” stwierdza Mikołaj Marcela, nauczyciel akademicki. Zdalne nauczanie wykazało m.in. przewagę technologiczną uczniów nad nauczycielami. Dziś rodzice i dzieci odkrywają na własnej skórze, na czym polega zła szkoła i jak powinna wyglądać dobra. Dawny model szkoły stał się przestarzały, nauczyciele powinni dostać autonomię, sami układać programy nauczania. Lektury należy zacząć od książek, które sprawiają przyjemność (np. fantastyki). Dzieci powinny mieć swobodę pytania, powinien zniknąć przymus (precz z myśleniem testowym). Dzisiejsza matura nie ma sensu, dojrzałość powinna się sprawdzać inaczej – czy delikwent potrafi podać krytykę jakiegoś twierdzenia, pokazać, że można inaczej. Należy zmienić rolę nauczyciela – od podawacza wiedzy do stymulatora inicjatywy uczniów (prof. Wojciech Cellary). Szkoła powinna uczyć funkcjonowania w grupie. Powinniśmy przyjąć inną perspektywę w sprawie eg-

zaminów, przeładowania programów czy zadań domowych. Trudno się nie zgodzić.

Inne prognozy i zalecenia? Jest ich wiele: staniemy się bardziej radykalni i będziemy szukać radykalnych rozwiązań; nie ma powrotu do tego, co było; być może nastąpi samoograniczenie, ale rozkwit hedonizmu też nie można wykluczyć. Powinniśmy sobie uświadomić, że dotychczasowa skala podróży jest zgubna, możliwe jednak, że wszystko wróci w dawne koleiny. Epidemia spowoduje autokompromitację populizmu, nie można jednak wykluczyć, że go umocni, bo masy szukają „ojca”, nawet byle jakiego.... itd., itd.

Autorytety pozostawiają nas w bolesnej niepewności. Na pociechę przypominają, jak doniosłą rolę odgrywały epidemie w kształtowaniu biegu historii, przynosząc nowe rozwiązania starych problemów. Pożyjemy (?), zobaczymy. A tymczasem wytrwale czytamy dalej.

Barbara Wizimirska na tle swego włóczkowego rękodziela



MIĘDZY NAMI ANINIANINAMI Redaguje zespół społeczny w składzie:

Jadwiga, Teresa Szymczak (redaktor senior), Barbara Mildner (redaktor naczelna), Dariusz Osiński (redaktor wydania cyfrowego MNA), Agata Gładkowska, Katarzyna Nowak, Grzegorz Samson, Mirosława Skoczeń, Joanna Wąsik, Ksenia Zimna - we współpracy z Oddziałem Anin TPW
Osoby stale współpracujące z redakcją: Wojciech Adamczyk, Piotr Błędowski, Maria Chodurek, Jan Czerniawski, Aldona Kraus, Stanisław Latek, Michał Nowacki, Marek Samson, Barbara Wizimirska.

**REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO
REDAGOWANIA (W TYM SKRACANIA) TEKSTÓW**



NIECODZIENNIK - PISMO BEZPŁATNE

Wydawca:

Biblioteka Publiczna w Dzielnicy Wawer m.st. Warszawy; 04-618 Warszawa, ul. Trawiasta 10
Dział łączności z czytelnikami: ul. Zambrowska 6a m 4, 04-642 Warszawa;
e-mail: b.mildner@O2.pl
Nasz blog: <http://aninski.blogspot.com>

Opracowanie graficzne, skład: Grzegorz Muczek
Druk: ACAD, ul. Sosnowa 34a, 05-420 Józefów, tel. (22) 789-47-89
NAKŁAD: 1000 EGZEMPLARZY



*Magdalena
Gintowt-Juchniewicz*



Akwarela

